

Jerzy ZNOSKO¹

MOJE „SZCZEGÓLNE” SPOTKANIA Z PROFESOREM RÓYCKIM

Profesora Stefana Zbigniewa Róyckiego poznałem w Zakładzie Geologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie przy ul. w. Anny 6. To był rok 1952. Ale nie była to znajomość osobista. Nie byłem już asystentem, bo wydalony z powodów ideologicznych i politycznych pracowałem w ówczesnym Państwowym Instytucie Geologicznym w Zakładzie Ził Rud elaza, który w tamtym czasie miecił się w małym willowym i przepelnionym nadmiar budynku ówczesnego Oddziału Karpackiego PIG przy ul. J. Lea 15. Prof. Ksińkiewicz przygarnął mnie, wyrzutka politycznego, stwarzając tym samym materialną możliwość pracy. I właśnie w tym Zakładzie wrzucił mi, jak dobrze pamiętam, w dużej III sali asystentów na I piętrze, z oknami na ul. w. Anny, przywieziony z Warszawy egzemplarz złamanej korekty monografii autorstwa S.Z. Róyckiego pt. „Górny dogger i dolny malm Jury Krakowsko-Czestochowskiej”². Zajmowałem się bowiem wtedy słuchowo iłami rudonowymi jury rodkowej na obszarze między Zawierciem a Krzepicami. Z wykonanych wierce dokonywałem opisu litologicznego przewierconych skał i wybijałem faunę, na podstawie której opracowywałem stratygrafię i korelację pokładów sydereytowych.

Osobista znajomość z Profesorem nastąpiła później, bo w październiku 1952 r., w gmachu PIG w Krakowie. Znajomość ta okazała się brzemenna w skutki, ale wtedy nie miałem o tym najmniejszego pojęcia. Do dnia dzisiejszego przechowuję dwa egzemplarze tej monografii. Pierwszy, wydrukowany w 1953 jako tajny i tylko do użytku słuchowego, pełen na marginesach tekstu i rycin moich spostrzeżeń, uwag i pytań, zanotowanych z myślą o sprawdzeniu lub konfrontacji w terenie. I drugi egzemplarz, przygotowany do druku na nowo w wersji angielskiej przez młody zespół jurajistów, jak w nowej przedmowie napisał prof. Róycki, w którym dokonano unowocześnienia przede wszystkim nazewnictwa bardzo licznej fauny, głównie amonitów, bo od przedwojennych czasów ich systematyka zmieniła się bardzo. Ze wzruszeniem biorę niekiedy te egzemplarze do ręki, kartkuję w zadumie i myślę o nich jako o nieziszczonym miłości Profesorowi z lat młodości czech.

* *
*

Było upalne, czerwcowe południe 1953 r. Przez otwarte okna wchodził do pokoju 306 w nowym gmachu PIG-u, a wtedy nie było ani rolet, ani aluzji, ani nawet przysłaniających firanek.

¹ Państwowy Instytut Geologiczny, ul. Rakowiecka 4, 00-975 Warszawa.

² *Pr. Inst. Geol.*, 17. Warszawa, 1953.

Ko czyłem porządkowanie przepisane na maszynie tekstu, tablic i przekrojów ozalidowych (kto dzisiaj wie, co to były np. geologiczne przekroje lub mapy ozalidowe), fotografii i spisu cytowanej literatury. Była to moja pierwsza, indywidualna, własna monograficzna praca o retyku i liasie między Krakowem a Wielunem³, w której przeprowadziłem po raz pierwszy udaną próbę rozdzielenia utworów retyckich od liasowych i odesłania na emeryturę zbiorczego pojęcia retykolas, co było godnym uwagi osiągnięciem.

Szczęśliwie, a wreszcie doznałem do końca, z uczuciem wielkiej ulgi zadałem sobie pytanie: który z uznanych autorytetów jurajskich powinien wydać opinię o tej pracy? Odpowiedź była prosta i oczywista. Dyrektorem Instytutu był wówczas prof. Stefan Różycki, najwybitniejszy wtedy polski jurajista, chociaż już od wielu lat po wieloletniemu całkowicie badaniu utworów czwartorzędowych. No oczywiście, a prof. Różycki. Natychmiast chciałem pomysł przekuć w czyn, co nie było trudne, ponieważ od gabinetu dyrektora dzieliło mnie tylko jedno piętro. Cały mój „retycko-liasowy egzemplarz” – jeszcze ciepły – wziąłem pod pachę i szedłem piętro niżej do sekretariatu, w którym królowała względnie młoda pani, osobie mi nieznana. Wywiłała się krótka rozmowa:

– Czy jest Pan Dyrektor?

– Jest.

– Czy mógłby mnie przyjąć?

– Nie wiem, zapytam. Pana nazwisko i sprawa, z jaką Pan przychodzi?

Wyjaśniłem rzeczowo i zwięźle, z czym przyszedłem. Sekretarka zniknęła za drzwiami profesorskiego gabinetu. Stałem i cierpliwie czekałem na zaproszenie do gabinetu. Sekretarka po chwili wyszła i oznajmiła, że Profesor prosi o dokładniejsze wyjaśnienie na kartce. Zdumiałem się, ale napisałem. Sekretarka ponownie zniknęła za drzwiami gabinetu Profesora i po chwili wyszła, oznajmiając mi, że Profesor nie może mnie teraz przyjąć.

– Je li nie teraz, to kiedy? – zapytałem.

– Nie wiem, proszę Pana.

Sytuacja stała się patowa. Niczego nie rozumiejąc, oniemiałem na chwilę, ale jednocześnie owaładnął mnie wściekłość, której wtedy nie potrafiłem opanować ani ukryć, bo byłem jeszcze młody i pełen temperamentu. Profesor – dyrektor Instytutu – nie chce dać posłuchania swemu młodszemu pracownikowi naukowemu ani określić terminu, kiedy go przyjmie. Nie pojmowałem tego, a wewnętrzne wzburzenie spowodowało, że wychodząc z sekretariatu nie do kulturalnie zamknąłem za sobą drzwi. Na korytarzu przyszedłem nieco do siebie, ochłonąłem i idąc po schodach na trzecie piętro, gdzie znajdował się mój pokój pracy, zadawałem sobie pytanie, co robić? Po pierwsze, trzeba spróbować jeszcze raz, choćby jutro, bo uważałem, że cały ten incydent był nieporozumieniem.

Po kilkudniowych, natarczywie ponawianych próbach dotarcia do Profesora, bez żadnego zresztą skutku, powolutku poczuli mi się rozjaśnić w głowie i pierwsza myśl, jaka pojawiła się w mojej wiadomości, przecieła prof. Różyckim niekończącym się wątem. No pewnie! Wiadomo ci, że nie prof. Różycki, to kto? Jak w kalejdoskopie zaczęły mi się przesuwać twarze: prof. Samsonowicza, który dopiero co opublikował pracę o wynikach dwugłębokich wierce hydrogeologicznych na obszarze Cieclocinka, przebijających duże partie utworów jurajskich, od wyszego malmu po lias i kajper⁴; prof. Passendorfera, prof. Makowskiego – znanego już badacza dimorfizmu amonitów; prof. Mariana Książkiewicza, który pokazywał mi przed dwoma laty w Krakowie okazy skał i fauny ze skałek bachowickich w Karpatach. I włączył mi na tych uczonych kołysząca się lista osób, które mogłyby zaopiniować moją pracę. Ale najbardziej pożądanym byłby prof. Różycki. Nie tyl-

³ *Pr. Inst. Geol.*, **14**, Warszawa, 1955.

⁴ J. Samsonowicz, 1954 – Wyniki hydrogeologiczne dwugłębokich wierce w Cieclocinku. *Biul. Inst. Geol.*, **91**:1–37.

ko czułem, ale wiedziałem, że w tym czasie byłby to najbardziej autorytatywny opiniodawca. Prof. Ksi kiewicz nie wchodził w rachubę, bo odległość Warszawy od Krakowa stanowiła zaporę trudną do sfinansowania. Opiniodawca powinien być na miejscu, ponieważ trzeba było się liczyć z kilkukrotnymi konsultacjami. Prof. Passendorfer od dawna nie był czynny w jurze, a prof. Makowski bardziej grawitował ku paleontologii. Narzucał się więc fakt prof. Samsonowicza, szczególnie że opublikował pracę jurajską, *par excellence* litologiczno-stratygraficzną, w dużej mierze dotyczącą utworów liasowych.

Czerwiec zbliżył się już ku końcowi. Zatelefonowałem do prof. Samsonowicza, który wtedy rezydował na Obodziej w gmachu przedwojennej geologii, gdzie mieściły się katedry dyscyplin nauk o Ziemi. Profesor cierpliwie mnie wysłuchał, zadał kilka pytań, które wyrażały zainteresowanie i problematykę, i uzyskanymi wynikami. Wyzначzył termin przyjęcia mnie, bo chciał zobaczyć pracę, no i pewnie zapytał o szczegóły, co było zupełnie zrozumiałe.

Wyznaczony dzień pojechałem na Obodziej i zameldowałem się u prof. Samsonowicza, który akurat egzaminował i był wyrażnie podenerwowany, bowiem zdająca studentka nie była zbyt dobrze przygotowana, co mi w poprzedniej rozmowie powiedział. Studentkę odesłał do biblioteki, aby uzupełniła wiadomości. Sytuacja stała się niezręczna, prosiłem Profesora, aby nie przerywał egzaminu, bo ja mogę poczekać. Ale Profesor machnął ręką i powiedział: – Ona i tak nie zda, bo jest zupełnie nieprzygotowana, a ja już jestem zmęczony. Proszę, słucham Pana. Przedstawiłem swój problem i szerzej umotywo wałem uzyskanymi wynikami. Profesor, stał się papierosa, wysłuchał z wyraźnym zainteresowaniem i po dłuższej chwili namysłu stwierdził, że wszystko, co powiedziałem, wygląda interesująco, ale mam przeciwko swego instytutowego dyrektora, znakomitego jurajstę, od którego powinienem rozpocząć swój problem ocenienie pracy. W lotu wiadomościem sobie, że w ciągu tych paru dni Profesor wracał myślnie do mojej telefonicznej wyrażonej prośby, ale widocznie koleśka i profesorska lojalność i istniejące w tej mierze zasady nakazywały mu tak właśnie postąpić. Nie mając wyjścia, przedstawiłem w skrócie moje kilkakrotne próby dotarcia do dyrektora Instytutu. Próby zupełnie bezskuteczne i zawieszono w powietrzu. Profesor po krótkiej chwili namysłu wyraził w końcu zgodę. Zastrzegł się jednak, że nie przeczyta pracy szybko ze względu na trwające egzaminy i planowane urlopy i niecierpliwie, a raczej zgrzyliwie dodał: – Bo wy byście chcieli szybko, najlepiej na jutro. Ale za dwa, trzy miesiące pewnie się do mnie telefonicznie odezwiecie. Gorzko podziękowałem i powiedziałem, że będę cierpliwie czekał i pół roku.

Nieoczekiwanie, po kilku dniach, prof. Samsonowicz telefonicznie wezwał mnie niezwłocznie, aby nie powiedziałem natychmiast, do siebie. Ciarki mi przeszły po grzbiecie, bo pomyślałem, że praca jest pewnie do niczego. Tak szybko, jak tylko to było możliwe, zjawiłem się na Obodziej. Ku memu zaskoczeniu Profesor wcale nie dyskutował o pracy, ale wdał się w ogólne paleogeograficzne i stratygraficzne rozważania, szczególnie akcentując problemy, które były sporne albo dotychczas niezbadane, szczególnie na Niżu Polskim, ale przez Profesora doskonale wyczuwane, a nawet przewidywane. Na koniec powiedział, że nie ma żadnych uwag i że chętnie podejmiemy rolę promotora przewodu doktorskiego, bo uważa, że monografia (tak powiedział!) nadaje się na doktorat. Zaskoczony totalnie, bo nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy, odczuliłem z wielką ulgą i gorzko, jak tylko potrafiłem, podziękowałem Profesorowi za jego wielkoduszność, bo przecież nie byłem Jego uczniem i tak na dobrą sprawę Profesor mnie nie znał.

Po powrocie do Instytutu zacząłem przeglądać maszynopis, bo przecież miałem nadzieję znaleźć na marginesach uwagi, notatki, znaki zapytania itp. Nie było nic. Było natomiast wiele popiołu tytoniowego, a niektóre strony i załączniki ozalidowe były poprzepalane papierosem. Pozostało więc załatwić formalności.

Nie zdążyłem jeszcze ochłonąć z tego przeżycia, a znów doznałem ponownego wstrząsu. Nagle tworzyły się gwałtownie drzwi do mego pokoju 306 i pojawił się w nich prof. Różycki, który nie wchodząc oznajmił, że teraz ma czas, jest wolny (czego wtedy nie rozumiałem) i chętnie zapozna się z moją pracą. Co się stało? Skąd i dlaczego taka raptowna zmiana? Po chwili doszedłem do wniosku, że albo pamięta, co byłoby takim gestem, albo na Obłonek prof. Samsonowicz dzielił się w najlepszej wierze swoją oceną pracy nieznanego mu osobnika. Ale jakby nie było, nie mogłem odmówić mojemu dyrektorowi. Wręczyłem egzemplarz pracy i przyjąłem termin dyskusji – 22 lipca godz. 9. – W Instytucie nie będzie nikogo, bo to wybitne państwo, ale będzie spokój i nikt nie będzie przeszkadzał – powiedział Profesor. Spotkali się w pustym Instytucie i przedzielili mi do godz. 21, bez jedzenia i nawet bez herbaty. I jedno, i drugie zastępowały nam papierosy. Profesor, jak wiadomo, był naszym palaczem.

Profesor Różycki nie podważył żadnej z moich tez, ze wszystkim się zgodził, ale metodologicznie i w dziedzinie kreacji stratygraficznych skorzystałem bardzo wiele. Udoskonalił pracę pod względem formalnym i edytorskim, czego było brak, bo nie miałem jeszcze do wiadzenia. W końcu owiadczył: – Chętnie będzie promował pańską pracę jako dysertację doktorską. Spełnia ona wszelkie wymagania i jest nietuzinkowa. Najpierw mnie zwrócenia zatkało, a gdy ochłonąłem, podziwowałem serdecznie i natychmiast, ale to natychmiast zacząłem się martwić. Co począć? Jeśli przyjmie propozycję jednego, na pewno narazi się drugiemu. Na to nie mogłem sobie pozwolić. Pozostałem więc sprawą własnemu biegowi.

Na tym jednak sprawa się nie skończyła. Wczesną wiosną 1956 r. ówczesny prezes Centralnego Urzędu Geologii prof. A. Bolewski wyraził życzenie wizytowania wierceń rozpoznawczych i dokumentacyjnych złożeń rud sydereitowych na obszarze Łęczyskim. W drodze powrotnej zapytał mnie o moje sprawy rodzinne, zawodowe i naukowe. – A jak z pana doktoratem? Opowiedziałem. Prof. Bolewski po chwili milczenia powiedział tonem stanowczym: – Będzie się pan doktoryzował na AGH, a ja z przyjemnością podejmę rolę promotora. Podziwowałem, ale jednocześnie nie zdrętwiałem. Prof. Bolewski mógł sobie na taką sytuację pozwolić, ale ja? Profesorowie Samsonowicz i Różycki to były autorytety w geologii podstawowej, a ja na pewno w stratygrafii. Specyfika badań prof. Bolewskiego była zupełnie inna i niezmiernie odległa od problematyki retyku i liasu. Co miałem robić? Pomyślałem – masz babo placek. I tak zostało, ale nie na długo.

Prof. Passendorfer, którego znałem jeszcze z Wilna, członek rady naukowej Instytutu Geologicznego, również przy okazji, znalazł moje osiągnięcia poznawcze i złożył pytanie, zapytał mnie, jak z moim doktoratem? Wykręcałem się, ale po którymś z kolejnych pytań opowiedziałem, jak się sprawa ma. Profesor zamyślił się i zapytał, czy zgadzam się, aby on tak skomplikowaną sprawę rozplątał. Przecie nie mogłem się nie zgodzić. Po jakimś czasie Profesor wstąpił do mojego pokoju i już od drzwi zaczął dyktować treść podania do Rady Naukowej IG z prośbą o otwarcie przewodu kandydackiego. A więc załatwił, bo rzeczywiście nigdy nie zauważyłem ze strony profesorów Samsonowicza i Różyckiego oznak braku sympatii. Dzisiaj, po latach, myślę, że passus z prof. Bolewskim mógł ich nawet ubawić. Rada Naukowa IG postanowiła, że promotorem będzie prof. E. Passendorfer. I słusznie! Był bowiem rzecznikiem w mojej bardzo trudnej sprawie. Ale nie tylko za to wywiłem do prof. Passendorfera uczucie wdzięczności i głębię boku przyjaźni. Dałem temu wyraz przemawiając nad jego grobem i egnąc go w jego ziemskiej wdrówe.

Następne spotkanie z prof. Różyckim odbyło się jesienią 1960 r. podczas zjazdu Polskiego Towarzystwa Geologicznego w Czestochowie⁵. Profesor był przewodniczącym komitetu organizacyjnego i merytorycznym kierownikiem ustalenia naukowego programu zjazdu. Jako naukowiec

⁵ Przewodnik 33. Zjazdu Pol. Tow. Geol. Czestochowa, 1960.

wielkiej klasy nie ograniczył się do przedstawienia uczestnikom jego znakomitych osiągnięć w dziedzinie stratygrafii i paleogeografii jury, ale rozszerzył tematykę zjazdu o zagadnienia czwartorzędowe i tektoniki, a także o nowe osiągnięcia stratygraficzne w jurze. Na tym zjeździe zreferowałem wyniki w zakresie nowych ustaleń w stratygrafii retyku i liasu, już wydrukowanych i obronionych jako dysertacja doktorska (wtedy kandydacka), której promotorem według moich wyobrażeń miał być właśnie prof. Ró ycki. Ale los postanowił inaczej.

Na sesji naukowej oraz w dyskusjach terenowych i kulaarowych odbywały się rozmowy dotyczące wznowienia monografii Profesora. Jednak nie urealniły się one dopiero na ogólnopolskim kolokwium jurajskim⁶, które odbyło się w dniach 9 i 10 czerwca 1964 roku na Wydziale Geologii UW przy al. Wirki i Wigury. Na tym kolokwium postanowiono jednomyślnie przez aklamację poprzeć mój wniosek, aby podjąć starania o wydanie angielskiej wersji monografii prof. Ró yckiego, wydanej w 1953 r. jedynie w wersji polskiej ze streszczeniem rosyjskim, ponieważ prymitywny urząd w randze wiceprezesa CUG nakazał rozrzucenie gotowego już składu drukarskiego wersji angielskiej. Sprawa była z naukowego punktu widzenia prosta, jednoznacznie jasna i nie podlegała dyskusji. Gorzej było z finansami i z decyzją, kto ma na siebie wziąć i ponieść te koszty. Chętnych było wielu, ale wszyscy byli biedni.

Praca ta, mimo że tylko w polskiej wersji językowej, znana była juraistom zachodnioeuropejskim, którzy jej fragmenty tłumaczyli sobie prywatnie na angielski, francuski i niemiecki. Mogliśmy się o tym przekonać na międzynarodowej konferencji jurajskiej w Londynie w 1969 r. Zauważyliśmy wtedy w rozmowach z naszymi angielskimi kolegami polski egzemplarz tej pracy lub fragmenty tłumaczone na język angielski. Miałem je w rękach i weryfikowałem na indywidualne prośby poprawno tłumaczące, szczególnie tabel. Wtedy właśnie nie z przykroci musieliśmy wysłuchiwać kłopotliwego pytania – dlaczego ta ważna praca nie została wydrukowana w którymś z kongresowych języków? A przecież publikacja była tylko do użytku słuchawego! Widocznie sito polskiej cenzury nie było dołgostej. Ale to nie stanowiło dla nas problemu, bo już wtedy wielu z nas zdawało sobie sprawę z wielkiej głupoty tej naszej rodzimej cenzury na ul. Mysiej, której ja osobiście doznałem a do przesyłu. Bo zagadnienia złożowe i geofizyczne oraz hydrogeologiczne były absolutnym tabu.

Nie zwracając uwagi na kłopoty finansowe i trudności administracyjne, zespół juraistów, głównie Instytutu Geologicznego (m.in. Lidia Malinowska, Krystyna Dayczak-Calikowska, Janusz Kopik), zorganizował się, ustalił zakres pracy i przydzielał ją personalnie zgodnie z kompetencjami zaangażowanych naukowców. W takim gronie zbierali się kilka razy w prywatnym mieszkaniu prof. Ró yckiego na Krakowskim Przedmieściu. Referowali my postępy prac, dokonywali my uzgodnień i szczegółowiec. Została dokonana pełna emendacja w zakresie nowoczesnej taksonomii i egzemplarz polski został przygotowany do tłumaczenia.

Wzruszając się słowami Profesora w nowo napisanym wstępie do wydania angielskiego (12 II 1968): „Wielką satysfakcją dla mnie jako autora było to, że grono następnego pokolenia juraistów (...) wysunęło sprawę publikacji tekstu obcojęzycznego mojej pracy. Dowodziło to, że mimo i upłynęło już pełne trzydzieści lat od jej opracowania, jednak nie straciła ona swojej aktualności, a zaproponowany w niej podział stratygraficzny jury polskiej, w głównych ramach wytrzymał prób czasu”. Jednak prace nie przetłumaczono na angielski i nie wydrukowano do dziś, a przygotowany egzemplarz stoi u mnie na półce, z którego co jakiś czas cieram kurz. Profesor nie doczekał się naukowej satysfakcji, a wraz z nim nie doczekała się jej i polska juraistyka. Jest to wielka strata w europejskiej co najmniej percepcji osiągnięć polskiej juraistyki. I pewnie już tak zostanie. Strata nie pierwsza zapewne i nie ostatnia. *Habent sua fata libelli...*

⁶ *Biul. Inst. Geol.*, 203. Warszawa, 1967.

Ostatnie naukowe spotkanie z prof. Ró yckim, w pełnej gali, nast piło na Wydziale Geologii UW z okazji Jego 70-lecia w 1976 r. Du a sala wykładowa na I pi trze była wypełniona do ostatniego miejsca. Na t uroczysto zjechali naukowcy mo na rzec z całej „czwartorz dowej” Europy. Były przemówienia, adresy, wr czanie naukowych podarków – nawet z przykl kni ciem – były yczenia, niektóre dowcipne, jak np. to, które wypowiedział prof. Leszczycki, rówie nik Profesora: Kochany Zbyszku! Pami taj, e ycie „zacina si ” dopiero po siedemdziesi tce.

Tak oto zacz ła si moja arcyzabawna znajomo z Profesorem, która wkrótce obrosła obo póln sympati i naukow przyja ni ⁷.

⁷ J. Znosko, 1989 – Stefan Zbigniew Ró ycki (1906–1988). *Nauka Polska*, 4/5: 209–213.